Rok 1901. Lwów, 3. Listopada. Nr. 40.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

 Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników. 

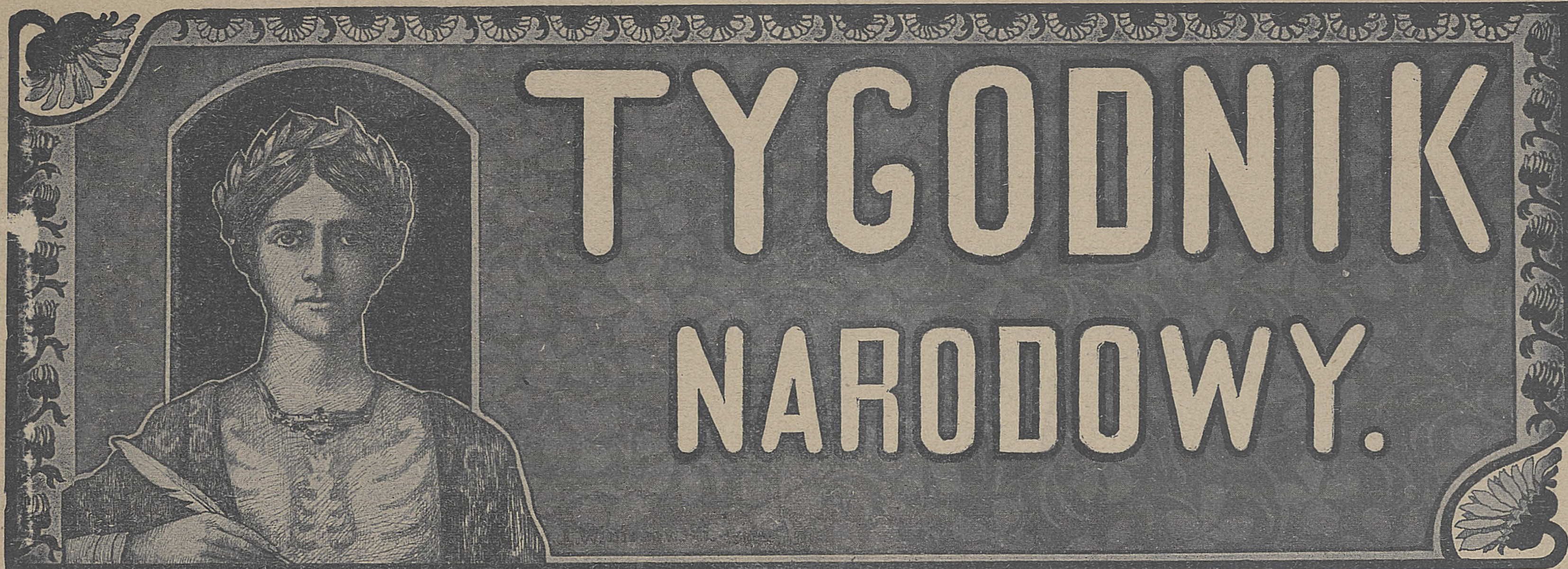
Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 3 listopada. Nr. 40.



Redaktor: Klemens Kołakowski. **Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.**

Treść Nr. 40.

ADAM PŁUG.

Na grobach zapomnianych w Dzień Zaduszny.

Siwy jak gołąb, przygnieciony srodze
Ciężkiem brzemieniem wieku i niedoli,
Chwiejny krok laską wspierając, powoli
Szedł zadumany po cmentarnej drodze;
A gdy się dowlókł do najpierwszej bramy,
W którą tłum mnogi przebojem się toczy,
Rwąc, jak wezbrany potok, wszelkie tamy,
I w głąb cmentarza zwrócił smutne oczy;
To mu z nich błyska gniewy błyskawica
I płomień zgrozy wybił się na lica.

Pierwszy raz w życiu w dzień umarłych święta
Przyszedł tu uczcić „zasłużonych“ groby
I te, o których nikt już nie pamięta, —
Bo „swoich“ nie miał w tym grodzie żałoby.
Toż i nie dziwy, że, nieświadom wcale,
Jak się to u nas dzień zaduszny święci,
Jakeśmy zwykli cześć swoją i żale
Swych ukochanych objawiać pamięci;
Zdumiał się, zgorszył, ujrzawszy, jak tłumny
Orszak, w odświętne szaty przystrojony,
Gwarząc wesoło, oglądał kolumny
I mauzolea, zdobne w lampiony,
Światłem rzęsistem gorejące wkoło,
W przepyszne wieńce, osobliwsze kwiecie,
Z których zaledwie gdzieś przy setnym dziecię
Uklękło, matka pochyliła czoło.

Więc zamiast wielkiej, wspaniałej świątyni,
Gdzie, ile grobów, tyle jest ołtarzy,
Z których przy każdym łzą szczerą się darzy
Zmarłych, obiatę świętą za nich czyni;
Tutaj jest tylko igrzysko, wystawa
Kłamnego żalu, próżności i pychy,
Tu się ciekawość z umarłych naigrawa,
Sen ich w mogiłach zakłócając cichy!

Zwiesił więc w smutnem zamyśleniu głowę
I szedł tam, kędy u cmentarnej ściany
Przekupki, siadłszy z swojemi stragany,
Sprzedają biednym wianki jałowcowe.
A zakupiwszy, ile mógł na ramię
Zabrać, podążył ku najdalszej bramie,
Wiodącej w oną dzielnicę żalnika,
Która bezdomnym nędzarzom bezpłatnie
Dawała niegdyś schronienie ostatnie,
Smutna, pustynna, ponura i dzika.

Szare kopczyki, usypane z ziemi
Gęstym szeregiem jedne za drugiemi
Leżą, jak snopy na skoszonym łanie.
Żaden tu pomnik nigdy nie postanie,
Rzadko z nich który krzew jakiś ocienia,
Nie każdy nawet ma godło zbawienia;
Wiele zaś deszcze albo wichru szały
Ledwie nie całkiem z poziomem zrównały.
A jednak spora biedaków gromada,
Niewiast i dzieci, gorzko rozpłakana,
Na tych mogiłkach pada na kolana,
I lampki pali, i wianuszki składa.

Starzec stał chwilę, w Niebo wzniósłszy oczy,
Z których łza jedna za drugą się toczy
Po bladej twarzy, a z ust jego ruchy
Znać było, że się rzewnie modlił w duchu.
Potem, wzrok powiódł w koło przez mogiły.
A kiedy ujrzał w którejkolwiek stronie
Takie, co smutnym pozorem świadczyły,
Że się nikt z żywych już nie troskał o nie;
To niósł im swoje wianuszki w ofierze,
A kląkłszy przy nich, modlił się tak szczerze,
Z taką żałością, jakby w onym grobie
Złożył był kogoś najmilszego sobie.

Ach! bo ten starzec, co przez długie lata
Był głową licznej, szczęśliwej rodziny,
Dziś z niej pozostał sam jeden, jedyny,
Wszystkich swych przeżył, i niema śród świata
Nigdzie takiego nawet cmentarzyska,
Gdzieby któremu bądź z nich było dano,
Już nie wespoły z rodziną kochaną,
W jednym grobowcu spocząć, lecz choć z bliska
W jednej dzielnicy!
Niegdyś... od tej daty
Pół wieku zbiegło... gdy mu najstraszliwszy
Cios serce złamał, to, w grobie złożywszy
Duszę swej duszy, wzniósł na nim bogaty
Wielki sarkofag, ciesząc się nadzieją,
Że tam i jego kości kiedyś stleją
Że i synowie, i wnukowie mili,
Tam czekać będą zmartwychwstania chwili.
Ale niestety! Bóg sądził inaczej:
Cały ród skazał na żywot tułaczy,
I nie przygarnął ów sarkofag wielki
Zwłok już niczyich do prarodzicielki;
A odkąd los ich rozprószył po świecie,
Jak spadłe liście, któremi wiatr miecie
We wszystkie strony przez szerokie błonie,
Nikt z nich nie postał już w rodzinnej stronie,
Nikt nie zgiął kolan przy macierzy grobie
Z łzą i modlitwą w serdecznej żałobie!

I biedny starzec próżno marzy o tem,
Próżno błagania śle do Boga w Niebie,
By mógł, chociażby o żebranym chlebie,
Do tego grobu zawlec się z powrotem!
O innych nie wie: gdzie wnuki, gdzie syny,
W jakich mogiłach? o tem mu nowiny
Ni ptak nie przyniósł. Od kiedy z nich jedni
Poszli zdobywać pracą chleb powszedni
Za siódme góry, za dziewiąte rzeki;
Drudzy miłością wiedzy, żądzą sławy
Przejęci, w świat się puścili daleki
Na niebezpieczne odkrywcze wyprawy;
Inni, rycerskim zapałem porwani,
Krew swą ponieśli obcym ludom w dani —
Odtąd daremnie starzec lat trzydzieści
Wyglądał od nich, albo o nich wieści,
I już nie wątpi dzisiaj, nieszczęśliwy,
Że prochy swemi żyźnią cudze niwy.

Więc gdy ogląda te oto „niczyje“,
Te bezimienne nędzarzy mogiły,
To mu się zdaje, że się w każdej kryje
Syn jego drogi, lub wnuk jego miły.
Dlatego w wianki zielone je stroi
I tak się modli i tak rzewnie płacze;
Bo ci „niczyi“ to dla niego „swoi“,
To jego syny i wnuki — tułacze.

† Michał Bałucki.

Prawie przepełnia się miara tej wyrozumiałości i tego stoicyzmu wrażeń, do jakiego przyzwyczaja nas życie, snujące się koleją kaprysów i niespodzianek — wobec niespodzianki tak okrutnej, tak iście tragicznej, jak wiadomość o targnięciu się samobójczem na siebie człowieka, z którego skroni zdawała się pogoda nie schodzić, który komedyopisarstwu naszemu wyrył na czole piętno pogody i dwom prawie pokoleniom pogodnie z życia śmiać się kazał.

Tyle jasnych promieni humoru, w krąg świata rzuconych — i potem, w końcu ta czarna, wilgotna, dreszczem przejmująca noc jesienna, w której twórca „Domu otwartego“ staje sam na sam na szerokiem pustkowiu w obliczu sfinksa grobu i brutalnie własną ręką rozrywa kotarę, dzielącą dwa olbrzymie światy. Że taką tragedyę stworzy Bałucki, mistrz krotochwili, że nam taki nokturn chmurny i ponury zagra na pożegnanie, że akordem burzy i protestu zakończy pełną uśmiechów symfonię swojego życia, któż mógł to przeczuć? Więc szarpie się dusza i buntuje na taką moc kontrastu, urągającego wszelakim konsekwencyom moralnym i psychologicznym.

A przecież wrażliwość nasza stępić się mogła. Od miesiąca wciąż nam przychodzi uderzać podzwonne: Rodoć — Sewer — Bałucki! Oto żniwo śmierci z jednego miesiąca, żniwo, na ubogim naszym zżęte ugorze! Zaiste, ciężka chmura smutku osiada na duszy i łzawo spływa myśl na pióro, usiłujące choć dorywczo nakreślić sylwetkę zmarłego.

Bałucki zajął w naszej literaturze powieściowej i dramatycznej stanowisko tak wybitne swą oryginalnością i siłą talentu, że całe studya i monografie będą mu poświęcone. Był naprzd poetą erotycznym i społecznym, był potem przenikliwym obserwatorem obyczajowym i malarzem wdzięku niewieściego w powieści, był komedyopisarzem po Fredrze ojcu najszczerszym w temperamencie: bogaty zaiste plon życia, który zapisze się trwale na różnych kartach naszej literatury. Z pieśnią liryczną na ustach, pełną własnych i szerszych entuzjazmów, wielbiciel Słowackiego i Hejnego, wszedł na szlak literacki bardzo wcześnie, gdyż w zbiorku jego „Poezyi“, wydanym po raz pierwszy w r. 1874, są wiersze, podznaczone datą r. 1858, w dwudziestoletniej zaledwo poczęte wiośnie w duszy wychowańca uniwersytetu jagiellońskiego, któremu próbować skrzydeł do lotu przypadło w chwili, kiedy wielki okres naszej poezyi romantycznej ostatniemi dogasał blaski, a migotała już na widnokręgu nowa era krytycyzmu politycznego i literackiego. Jeszcze padała kaskada wieczornych różanych promieni milknącej doby na młodziutkiego akademika, szukającego pierwszych zapłodnień ducha do długiej pracy żywota. Sam Bałucki powiedział, że rozkoszą mu było rozścielać, jak bluszcz, piosenki swoje u stóp „posągowych dzieł mistrzów“. Budził się wówczas kult nierozumianego wpierw Słowackiego, młodzieniec poddał się jego czarowi demonicznemu i pozostawił w erotykach swoich tego oczarowania wdzięczne ślady.

Urodzony w r. 1837-ym w Krakowie tam ukończył gimnazyum, a kiedy wszedł na uniwersytet, to właśnie owe zmierzchy i brzaski pasowały z sobą. Liczył na ławie uniwersyteckiej kolegów, którzy mieli nadać cały charakter nowej erze literackiej, naukowej i politycznej. Szujski, Piekosiński, Wojciechowski, Stanisław Tarnowski spowiadali się przed nim po koleżeńsku i słuchali jego spowiedzi. Równocześnie tuż obok w szkole sztuk pięknych kształcili się Grotger, Matejko, Wilhelm Leopolski, Gryglewski — plejada młodych duchów, które miały sobie coś do powiedzenia. Wymiana uczuć i myśli w takiem gronie rzuciła Bałuckiego stanowczo na tor literacki. Pierwsze próby stanowiły wdzięczną mieszaninę nieskrystalizowanych jeszcze żywiołów (Ziemowit, książę mazowiecki 1861 r. itp.). Najsilniejszym wyrazem jego talentu rymotwórczego był powstały w r. 1861-ym poemat „Bez chaty“. W mniejszych poezyach Bałuckiego lśniło się wiele brylancików czystej wody.

Za przejście z doby romantycznej w realną uważają szereg szkiców satyrycznych, pisanych prozą, p. t. „Scherzo“ (1864), w których Bałucki zawarł pierwszy plon jeżeli nie zawodów, to przynajmniej otrzeźwień życiowych. Wówczas urodziły się pierwsze jego powieści społeczne „Przebudzeni“ (1864), „Młodzi i starzy“ (1866), znaczone pseudonimem Elpidona. Na niwie powieściopisarstwa naszego, aczkolwiek po laur skończonego mistrzowstwa nie sięgnął, stworzył wszakże cykl dzieł trwałej wartości, które nietylko spełniły swój doraźny cel belletrystyczny, gdyż czytane były skwapliwie przez masy, ale i zasłużyły sobie na trwałe miejsce w rocznikach powieści swojskiej. Wymieniamy tu celniejsze: „Błyszczące nędze“, „Życie wśród ruin“, „Żydówka“, „Siostrzenica księdza proboszcza“, „Sabina“. „Z obozu do obozu“, „Byle wyżej“, „Biały murzyn“, „Za winy niepopełnione“, „Romans bez miłości i miłość bez romansu“, „Pan burmistrz z Pipidówki“, „Pańskie dziady“, „W żydowskich rękach“, „Całe życie głupi“, „Garbuska“ i t. d.

Zbiorowe wydanie „Pism“ Bałuckiego, w 13-tu tomach, wyszło nakładem S. Lewentala w Warszawie w r. 1885—1893.

W powieściach swoich Bałucki był nieugiętym szermierzem idei postępowych i walczył o swe ideały demokratyczne z siłą słowa, które jednały mu czytelników, nietylko samemu artyzmowi hołdujących. W każdym razie tendencyjność powieści jego nie przeszkadzała żywości akcyi, dosadności charakterów, bogactwu malowidła i pomysłowości sytuacyjnej. Czytelnik przywiązywał się do figur rodzajowych, do kreślonych miękko i powabnie bohaterek, do komicznych powikłań, a poważną, społeczną, tendencyjną stronę bez żalu do serca.

Skuteczniejszym był jeszcze Bałucki w komedyi. Stylowo trzymał on ją na samem pograniczu krotochwili i komedyi wyższej, obyczajowo-społecznej. Satyra i komizm jego nie sięgają głębin duszy ludzkiej, ale mają za to nieprzepartą aktualność, gdyż wyrastają z chwili, wiążą się z jej przejawami, wydobywają z nich żywioł łagodnej, przebaczającej skwapliwie satyry, wykazują komizm, ośmieszają figury, hasła i kierunki na ośmieszenie zasługujące i tem samem osiągają wieczysty cel komedyi — karcą i poprawiają obyczaje — *castigant mores*. Humor w nich swojski, częstokroć rubaszny i płytki, ale zawsze szczery i przekonywający. Wieczystymi dokumentami duszy ludzkiej, jak komedye Arystofanesa lub Terencyusza, Moliere'a lub Fredry, komedye Bałuckiego nie będą, ale dokumentami czasu swojego pozostaną na długie pokolenia. Bałucki był mistrzem w wyborze przedmiotów zawsze żywotnych i powszechnie interesujących. Obok szczerej *vis comica*, która cechuje całą jego twórczość komedyopisarską, oto może najgłębsza tajemnica jego scenicznych, repertuarowych powodzeń. Galerya typów Bałuckiego ma niemal wyłącznie zakrój mieszczańsko-szlachecki. Mieszczanina i ziemianina znał wybornie i malował ich wielkiemi rzutami soczystego pędzla. Pozostawił po sobie szereg figur rodzajowych o typowej wyrazistości, których długo nie zapomnimy w teatrze, ani w literaturze.

Komedyopisarstwo Bałuckiego zaczyna się w roku 1867 od takich właśnie typowych, niezapomnianych „Radców pana radcy“. Potem ukazały się: „Polowanie na męża“ (1869), „Pracowici próżniacy“ (1871), „Emancypowane“ (1873), „Rodzina Dylskich“ (dramat społeczny 1875), „Grube ryby“, „Krewniacy“, „Sąsiedzi“, „Gęsi i gąski“, „Dom otwarty“ (1863), „Klub kawalerów“, „Flirt“ (1892 roku) itd. Komedye te — to historya doby spółczesnej naszego teatru. Zna je pokolenie nasze bez wyjątków i zawdzięcza im chwile najprzyjemniejszych, bo łatwych i nierozstrajających nikogo, wrażeń. Za najdoskonalsze dzieło komedyopisarskie Bałuckiego, które utrwali się w literaturze, uważamy „Grube ryby“, gdy doskonała krotochwila „Dom otwarty“ pozostanie na długie czasy wszechwładną panią wesołego repertuaru.

Bałucki liczył dopiero lat 64, nie budził wrażenie człowieka, którego rozgoryczenie literackie lub jakiekolwiek inne mogłoby popchnąć aż do czynu, będącego katastrofą dla rodziny i literatury.

Ale cóż począć? Żyjemy w atmosferze zatrutej literatury i psychicznego zwyrodnienia. Nic dziwnego, że w takiej atmosferze najjaśniejsze, najzdrowsze umysły niepostrzeżenie wchłaniają w siebie żywioły zamętu wewnętrznego i rozterki duchowej, które z czasem dojrzewają — w nieszczęście.

Szczęśliwym widocznie Bałucki nie był w ostatnich czasach, skoro — sam piastun i apostoł humoru — takim dysonansem skołatanej duszy zakończył wesoła na pozór pieśń życia. Zgon jego obudził echo powszechnego żalu: wszakże złamał się talent i złamał się człowiek. A jeden i drugi był uznawany i umiłowany.



Dr. J. B Marchlewski.

Nowy współzawodnik.

Od lat kilku kapitaliści europejscy usilnie dążą do uszczęśliwienia za pomocą kolei żelaznych poddanych padyszacha tureckiego w Syryi, Mezopotamii i Azyi Mniejszej. Obecnie w krajach tych istnieje około 2,500 kilometrów toru kolejowego, a mianowicie: od Smyrny rozchodzi się kilka linij do Kassaba, Aidim i Semia, port Beirut połączono z Damaszkiem, port Jaffa z Jerozolimą, port Mersine z Adaną. Najważniejszą wszakże jest linia, prowadząca od Haidar-Pasza (na brzegu Bosfo-

rusa; naprzeciw Konstantynopola) przez Eskiszcz do Angora, z odnogą od Eskiszcz do Konii. Ostatnie te linie są dziś w posiadaniu towarzystwa o nazwie francuskiej „Chemin de fer Ottomane d'Anatolie“, ale faktycznie zostają pod kierownictwem niemieckiem, mianowicie „Deutsch Bank'u“ w Berlinie. Otóż to konsorcyum zamierza obecnie ni mniej ni więcej, tylko przeprowadzić linię kolejową od Angory do Diarberkiru, stamtąd wzdłuż rzeki Tygrys przez Mosul i Bagdad do Basra i Kuweit nad zatoką Perską; od Konii zaś ma być przeprowadzona droga ku brzegom Eufratu, a przecinając w poprzek Mezopotamię, linia ta połączy się z pierwszą. Projekt ten, jak zapewniają, jest dziś blizkim urzeczywistnienia, co bank niemiecki zawdzięcza przedewszystkiem podróży Wilhelma II. do Konstantynopola i „ziemi obiecanej“. Jeżeli zaś Porta rzeczywiście zgodzi się na udzielenie tych koncesyj, to zapewne zgodzić się będzie musiała pod naciskiem dyplomatów na uwzględnienie projektów francuskich, belgijskich i angielskich. Tak np. Anglicy chcą budować od portu Aleksandretta nad morzem Śródziemnem do Aleppo stamtąd wzdłuż brzegów Eufratu do Basra, Belgijczycy — kolej od Samsun przy morzu Czarnem do Bagdadu; Francuzi zaś planują całą sieć w Syryi.

Otóż, w razie urzeczywistnienia tych planów, kraje Azyi Mniejszej, Syryi i Mezopotamii staną się nowym współzawodnikiem w produkcyi zbożowej; napływ tego zboża na rynek wszechświatowy może doprowadzić do ponownego obniżenia cen zbożowych na rynku wszechświatowym, tak samo, jak swego czasu napływ zboża północno-amerykańskiego, a później argentyńskiego. Ruhland, profesor uniwersytetu fryburskiego, a zarazem dyrektor „międzynarodowego biura dla regulowania cen zbożowych“, ogłosił świeżo broszurę, w której zestawił dane o możliwości rozwoju w tych krajach*). Otóż wszyscy podróżni, którzy zwiedzali w ostatnich czasach Azyę Mniejszą i Mezopotamię, twierdzą jednozgodnie, że produkcya zboża na wielką skalę jest tu niemożliwą. Już wywóz zboża koleją anatolską poucza o tem, że we właściwej Azyi Mniejszej rolnictwo obliczone na wywóz rozwija się szybko, jakkolwiek dwie linie tej kolei objęły tylko małą cząstkę kraju; wywóz ten wynosił w r. 1894 zaledwie 23,800 ton (po 100 kilogramów), w roku zaś 1898 — 410.000. Jeżeli więc sieć kolejowa pokryje kraj, to oczywiście należy oczekiwać szybkiego wzrostu produkcyi rolniczej i tem samem wywozu. Przytem należy brać pod uwagę, że dolina Mezopotamii nie bez słuszności słynęła dawniej jako kraina nader urodzajna; zawiera ona, zdaniem rzeczoznawców, pokłady wyborowego czarnoziemu, który też pokrywa po części doliny rzeczne Syryi. Co do obszarów gruntów, zdatnych do uprawy zbóż, niema dotąd cyfr dokładnych. Ruhland oblicza w przybliżeniu ten obszar na 40 milionów hektarów, tj. prawie tyle, ile obejmują grunty orne w Niemi i we Francyi razem wzięte. Co do wydajności tych gruntów, Kaeger, poważny rzeczoznawca, podaje o czarnoziemie babilońskim cyfry takie: w roku nieurodzajnym zbiera się z hektara ziemi 9,9 do 13,2 centnarów metrycznych (po 100 kilogramów) z hektara; w latach średnich 24,6 — 33 centnarów; na dobrze uprawnym gruncie, unawożonym i zaopatrzonym w kanały wodne — 66 do 165 centnarów. Dodajmy, że w Niemczech np. zbierają przeciętnie 14—16 centnarów z hektara, a 60 centn. należy uważać za plon wyjątkowy przy najstaranniejszej uprawie i sprzyjających warunkach. Wobec takiej urodzajności gruntów oczywiście koszty produkcyi muszą być nizkie. Kaerger oblicza je dla Anatolii na 8 piastrów za 100 kilogramów, co odpowiada w walucie niemieckiej 5,92 marek. Tymczasem te koszty dla Argentyny podają na 6,45 marek, dla Indyj wschodnich na 6 marek, dla Stanów Zjednoczonych na 15,55 marek. Stąd więc wynika, że kraje Azyi Mniejszej stałyby się dla rolnictwa europejskiego groźniejszym współzawodnikiem, niż dotychczas wszyscy inni zamorscy, a to tem bardziej groźnym, że mniej odległym, ponoszącym mniejsze koszty przewozowe. Zboże np. ze Stanu Dakota, aby dostać się na rynki Europy środkowej, musi przebyć drogę lądową w Stanach Zjednoczonych około 3,200 kilometrów, potem odbyć podróż przez Atlantyk i drogę lądową od portów europejskich; zboże zaś z Mezopotamii miałoby do przebycia nie więcej nad 500 kilometrów, następnie morzem niewielką przestrzeń od portów Azyi Mniejszej do Genui lub Marsylii, a stamtąd drogę po kolejach europejskich. Oczywiście więc koszt transportu zboża azyatyckiego będzie znacznie mniejszy.

Nie bez słuszności Ruhland twierdzi przytem, iż chodzi nietylko o ceny normalne, lecz również o ceny w latach nadzwyczajnie obfitego urodzaju w kraju wywożącym. W takim roku urodzajnym cena zboża spada tam znacznie, a przywóz tak wyjątkowo taniego zboża na rynki europejskie staje się ruiną dla rolników. Tak było np. w latach 1893 i 1894, kiedy Argentyna miała urodzaje nadzwyczajne a wskutek tego cena pszenicy na rynku międzynarodowym spadła do niebywale nizkiego poziomu. Oblicza on zatem nominalne ceny produkcyi dla zboża mezopotamskiego w takim roku nadzwyczajnym i określa je na 1,66 marek za centnar, a z kosztami przewozu do rynków we wnętrznych Europy środkowej na 85 marek za tonę, z dołączeniem zaś cła niemieckiego — na 120 m., podczas gdy nawet w chwili największej depresyi, w r. 1894, cena na tych rynkach nie spadała poniżej 150 marek. Obliczenie to wydaje nam się nieco przesadnem, zarówno co do kosztów produkcyi jak co do przewozu. Kwestyi wszakże nie ulega, że współzawodnictwo Azyi Mniejszej bezwarunkowo da się za lat kilka bardzo we znaki rolnikom Europy, a tem samem i naszym wytwórcom rolniczym.

Ruhland z powodu tego nowego współzawodnictwa rozwodzi się nad sprawą konkurencyi zbożowej krajów zamorskich wogóle. Dochodzi on do wniosku, że współzawodnictwo to stało się zabójczem dla rolników Europy nie wskutek większej urodzajności gleby w krajach, gdzie ziemia dotąd leżała odłogiem, nie wskutek dogodniejszych warunków produkcyi (zastosowania maszyn na wielką skalę, gospodarstwo wogóle racyonalne pod każdym względem), lecz wskutek obrotów finansowych spekulantów kapitalistycznych Europy! Chodzi mianowicie o to: Giełdy europejskie dostarczyły pieniędzy przedsiębiorstwom kolejowym zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w Argentynie, a obecnie gotowe są dostarczyć pieniędzy na budowę kolei w Azyi Mniejszej; produkcya zaś rolnicza w tych krajach powstaje nie samorzutnie, lecz jest wynikiem właśnie budowy kolei. Zarówno bowiem w St. Zjednoczych, jak w Argentynie, towarzystwa kolejowe otrzymywały od rządów nietylko ziemię pod tory kolei żelaznych, lecz nadto rozległe obszary, a na nich dopiero, nabytych za bezcen, osadzały farmerów. Następnie — mówi Ruhland — owe towarzystwa kolei egzotycznych bankrutowały raz po raz, ponieważ taryfy przewozowe na główny produkt, zboże były tak nizkie, że nie pokrywały kosztów przewozu, a tylko dzięki tym taryfom zboże amerykańskie mogło być sprzedawane tanio na rynkach Europy. Na bankructwach zaś owych tracili ci, którym finansiści europejscy sprzedawali walory zamorskie — akcye kolejowe amerykańskie, papiery argentyńskie, tj. tracili posiadacze drobnych oszczędności w Europie. Europa tedy traciła na walorach amerykańskich miliardy, a te miliardy dały możność wytwórcom rolnym Ameryki podkopać byt rolników europejskich. Stąd Ruhland porównywa do bankrutów owe kraje zamorskie, wywożące zboże. Produkują one tanio dlatego, że zarwały swych wierzycieli, owych drobnych posiadaczy oszczędności, którzy nabywali akcye, a pośrednikami przy tem systematycznem bankrutowaniu były kapitaliści, bankierzy Europy.

W tak ogólnej formie twierdzenie to nie ostoi się — naszem zdaniem — wobec krytyki. W krajach świeżo przystępujących do produkcyi rolniczej dla celów wywozu, cały szereg przyczyn składa się na to, że koszty produkcyi są niższe od kosztów takich w Europie zachodniej. Najważniejszym zaś czynnikiem jest to, że wytwórca kapitalistyczny nie ma tam do czynienia z przeżytemi formami, zwłaszcza w dziedzinie stosunków robotnika do właściciela ziemi, Drugim zaś decydującym czynnikiem jest taniość ziemi. To też są sądzimy, że nawet bez bankructw towarzystw kolejowych w Ameryce, kapitalistyczne rolnictwo byłoby się tam rozwinęło szybko i mogło współzawodniczyć z europejskiem. Słusznem pozostaje tylko, że tani kredyt, zasoby kapitału, jakich dostarcza Europa, są warunkiem nieodzownym do rozwoju sił produkcyjnych w krajach zamorskich. Lecz tej prawdy nie odkrył p. Ruhland, jest ona znaną oddawna.

Środki, jakie proponuje on dla zapobieżenia owej groźnej konkurencyi, nie wydają się nam również skutecznymi. Plan bowiem jego na tem polega, aby skierować w inną drogę depozyta składane dotąd w bankach, które następnie oddają te kapitały do rozporządzenia aferzystom giełdowym, grynderom forytującym przedsiębiorstwa budowy kolei w krajach zamorskich. Mianowicie Ruhland domaga się, by depozyty te były powierzone spółkom kredytowym rolniczym. Gdyby jedyną dolegliwością rolnictwa europejskiego był brak kredytu, to możnaby rzeczywiście bardzo łatwo zapobiedz nieszczęściu, lecz tak nie jest. Uprzystępnienie kredytu powoduje przy ogólnych warunkach ekonomicznych w Europie li tylko nowe podrożenie ziemi, a wtedy wszystko pozostanie jak dawniej.

Karykaturalne stosunki, jakie wytworzyły się w rolnictwie, tak łatwo, niestety, przekształcić się nie dadzą; ku temu trzoba głębiej sięgających przekształceń ekonomiczno-społecznych, a ponieważ na dro-

*) Ruhland: *Die internationale landwirtschaftliche Konkurenz ein kapitalischen Problen*. Berlin,1901.

gę tych reform dotąd nie wstąpiło społeczeństwo europejskie, więc pozostaje jedno tylko: rozwój po przez szereg katastrof ekonomicznych, które w końcu do reform tych zmuszą. Jedną z takich katastrof, być bardzo może, będzie konkurencya Azyi Mniejszej na rynku zbożowym.



Marya Konopnicka.

Dusza moja w gwiazdach czyta...

Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,
Mrok powiewa chustą ciemną...
Widzę przecież, jak nade mną,
Na szafirów gdzieś roztoczy,
Złotych astrów łan zakwita...

...Dusza moja w gwiazdach czyta.

Jakaś wielka mglistą karta
W tajemnicze runy ryta,
Wskróś otwiera się przedemną,
Wskróś przede mną jest otwarta...
W izbie mojej pusto, ciemno,
W zadumaniu twarz zakryta

...Dusza moja w gwiazdach czyta.

. . . .

Ziemio! Ty będziesz tak myślami bita
Jak burzliwym oceanem,
Aż w polu, zorzą owianem,
Ostatni kłos twego żyta
W chleb się braterstwa przemieni,
Pełen promieni,
Który przełamią z sobą — przez lądy i wody —
Świata narody!
Ziemio! Ty będziesz tak chłostana duchem
I siedmiu wichrami jego,
Które na ciebie nawałnicą puści,
Że musisz dźwignąć się wszechmocnym ruchem
Z prastarych orbit czeluści,
W coraz wyższy krąg, bez końca
Wstępująca,
Do najwyższego,
Do kręgu słońca!

Ziemio! Ty będziesz tak podminowana
Prochami, co leżą w tobie,
Jak podścielisko wulkana...
Każde ludzkie pokolenie,
Co płonącem czuciem wzlata
Ku jutrzennym brzaskom świata,
A zaś w twem łonie składa swoje kości. —
Każdy wiek twój pogrzebany,
Każde wielkie ludzkie serce,
Co się rozsiewa w swym grobie
W posiew miłości.
Każda pierś, w której śpiewa przyszłych dni
[natchnienie,
Zapała w tobie tajemne wulkany,
Widzialne w drobnej iskierce.

Aż kiedy się wyzwoli cały zaczyn śmierci,
Buchniesz, jak krater rozpiorunowany
Na ćwierci...
I skróś pyłu i kurzawy,
Skróś dymów i ogniów bicia,
Z pośród gorejącej lawy,
Dobędzie się zawierucha
Nowego życia,
Nowego ducha...
I uświęcona będziesz i będziesz kwitnąca,
Pod nową jutrzenką słońca!

. . . .

Szumią już fale myśli, fale ideału..
Podmywają twoje brzegi,
Wdzierają się w twoje właście.
Na twe szczyty, w twe przepaście,
Jak niecofnione zdobywcze szeregi.
Każda myśl wstrząsa twą starą łupiną,
Każdy przypływ zapału
W pierś twą uderza,
Jak fala świeża,
Wzbita gdzieś na głębinach tajnych oceanu
Nieskończoności...

Aż kiedy przejdą wieki i czasy przeminą,
Wśród zwycięzkiego peanu
Wszechświata i wszechmiłości,
Rozleją się potopem myśli ludzkiej tonie
Po twojem łonie.
I — nowa Atlantyda — w wód nowych zaporze,
Musisz uledz! Nad tobą będzie myśli morze!

Huczą już zdala wichry! Od kończyn zaświata
Burza duchów nadlata...
Jedne w ogromnym pędzie.
W błyskawicowym locie,
Inne — jako łabędzie,
W gasnącej zórz pozłocie,
W szerokich łun zachodzie,
Wypływające, ciche, srebrne łodzie...
Inne — ledwo z chmur czasów mrokiem się wylęgły
I rogate piorunem okazały czoła...

Ale ruch wieczny już je pędzi, woła,
Już je na cztery twe ponosi węgły,
Już je przenika,
Chwyta, jednoczy,
Aż od śpiewnego gajów twych ogniska
Po duch synajski, proroczy.
W jedną burzę ją ciśnie,
W jeden grom je rozbłyśnie,
Nad bezduszne bagniska,
Nad wygasłe ogniska,
Nad lodów stalaktyty,
Nad łan, zbożem okryty,
Nad doliny, co drzemią...

Aż huf duchów rozpętany
W błyskawice, w huragany
Rozegrzmi się w koniec z końca,
Porwie cię, o gnuśniejąca,
O ziemio,
W ruch potężny, w ruch nowy, do słońca!...
[Do słońca!...

. . . .

Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,
W izbie mojej pusto, ciemno,..
Widzę przecież, jak nademną
W szafirowych pól roztoczy
Łan gwiaździsty gdzieś zakwita..

...Dusza moja w gwiązdach czyta.



W. U.

Pogadanka naukowa.

Tajemnicze promienie.

Odkrycie promieni Roentgena pobudziło niezmiernie umysły nietylko poważnych uczonych ale szerokiego ogółu i dało impuls do nowych poszukiwań w tym kierunku. Okazało się niebawem, że istnieją substancye, zdolne wysyłać promienie jeszcze dziwniejszej natury, aniżeli promienie Roentgena gdyż nie wymagające wydatkowania żadnej ze znanych postaci energii i przeczące, przynajmniej na razie, wielkiemu prawu zachowania energii w przyrodzie.

O tych dziwnych zjawiskach, wobec których bezradnie stoi dziś teorya, pomówić chcemy słów parę.

Ben Akiba powiedział niegdyś, że „wszystko to już było“, tak też mają się rzeczy w interesującym nas wypadku, bo jeszcze przed 40 laty Niepce, sławny założyciel fotografii, zaobserwował zjawiska, zupełnie podobne, chociaż nie potrafiono i wówczas zbadać ich natury. Zauważył on mianowicie, że papier, nasycony azotanem uranu, pewnego rzadkiego metalu, działa tak jak światło na sole srebra, to znaczy czerni papier niemi powleczony. Odkrycie to wywołało wielką sensacyę; starano się wytłómaczyć dziwne zjawisko przypuszczeniem, że kryształki azotanu mają własność chłonienia i nagromadzania promieni słonecznych i wypromieniowywania ich w następstwie.

Jak to się często dzieje nawet w nauce, zapomniano w końcu o tajemniczym fakcie; dopiero odkrycie promieni Roentgena wyprowadziło go znowu na porządek dzienny.

Równocześnie prawie z pojawieniem się prac Roentgena, wziął się do badań nad niewidzialnymi promieniami uczony francuski, dr Le-Bon. Dowodził on, za pośrednictwem doświadczeń, że wszelkie znane źródła światła, nie wyłączając lampy naftowej, wysyłają niedostrzegalne dla wzroku ludzkiego promienie, zdolne przenikać blachy żelazne, miedziane, aluminowe itd. ale nie przechodzące przez ebonit, papier czarny... Promienie owe, nazwane parodoksalnie przez Le Bona czarnem światłem, mają się różnić tem od roentgenowskich, że nie słabną wcale, przechodząc przez ciała dla nich przeźroczyste.

Inni badacze, a mianowicie dr. Armaignac z Bordeaux i H. Murat z Hawru przedstawili za pośrednictwem d'Arsonvala Akademii nauk w Paryżu doskonałe fotografie szkieletów ryb, otrzymane przy użyciu światła czarnego (w 1896 r.). Doświadczenia Le Bona podlegały kontroli i krytyce, ale nikomu, o ile nam wiadomo, nie udało się stanowczo wykazać, że światło czarne jest złudzeniem. J. Russel dowiódł dalej, że sole uranu działają na kliszę nawet wtedy, jeśli je umieścić w epruwetkach szklanych i trzymać przez długi czas w ciemnościach; potwierdził też fakty, obserwowane przez Le Bona i Colsona, odnoszące się do cynku. Metal ten. w stanie polerowanym, po upływie 4—5 godzin wywołuje wyraźny obraz na płycie fotograficznej, tak iż znać nawet rysy i pęknięcia na płycie. Fotograficzne działanie wykazują także inne metale, zwłaszcza rtęć. Przekonano się, że ta własność metalów pozwala je postawić w tym samym mniej więcej porządku, w jakim następują one po sobie w szeregu galwanicznym Volty. Kładąc pomiędzy kliszę a metal warstwę obojętnej substancyi, spostrzegamy, że zmienia ona siłę działania czarnego światła na warstwę czułą.

Tak np. szkło, parafina, guma arabska, są zupełnie nieprzenikalne, cienkie zaś warstwy gutaperki, celuloidu i papieru nie osłabiają niewidzialnych promieni w znacznym stopniu.

Co ciekawsze, nietylko mineralne, ale nawet organiczne substancye zachowują się podobnie. Najsilniej działa na kliszę fotograficzną kopal, słabiej żywica zwana damarą i balsam kanadyjski; nawet drzewo rozmaitych gatunków, słoma, tektura z tejże i węgiel wykazują aktyniczną dzia-

łalność, przyczem na kliszy staje się widoczny ich zarys i budowa wewnętrzna.

Fakty analogiczne mnożyły się: w r. 1896 Becquerel, znakomity uczony francuski, zrobił odkrycie, że uran metaliczny wysyła promienie nie widzialne dla oka ludzkiego i mające wiele wspólnego z promieniami Roentgena. Promienie te przenikają bowiem metale, ciało ludzkie, drzewo, działają na kliszę fotograficzną, a nadto załamują się i odbijają, czego nie stwierdzono odnośnie do promieni X. Ważnym jest tutaj fakt, że promienienie Becquerela ułatwiają rozpraszanie się elektryczności z naładowanych nią ciał, jak gdyby pod ich wpływem powietrze stawało się dobrym przewodnikiem. Także zjawisko indukcyi elektrycznej w obecności uranu ulega osłabieniu.

Becquerel posiada szkatułkę ołowianą, napełnioną uranem i szczelnie zamkniętą od trzech lat a więc niedostępną dla światła, a pomimo to wysyłającą bez przerwy, z jednakiem wciąż natężeniem tajemnicze promienie. Skąd więc bierze się ten niewyczerpany zapas energii? Jaką jest jej natura?

Ale na tem nie koniec; niebawem odkryto ciała, obdarzone w nieporównanie silniejszym stopniu własnością uranu. Zasługa należy się tutaj Polsce, pani Curie, z domu Skłodowskiej.

Pp. Curie, badając promienie Becquerela, przekonali się, że źródłem ich są także pewne uranowe minerały, mianowicie pechblenda i chalkolit; oddzieliwszy przymieszki, towarzyszące uranowi w owych minerałach, otrzymali oni substancye wysyłające bardzo obfite promienie o zaznaczonych własnościbh; w końcu doszli do przekonania, że zawierają one nowy pierwiastek, który otrzymał nazwę polonium.

Równocześnie z panią Curie niemiecki uczony, Schmidt, zwrócił uwagę na aktyniczne własności związków torowych, używanych do fabrykacyi żarowych koszulek Aurera i nazwał zawarty w nich pierwiastek (radium) radem. Oba wymienione pierwiastki wysyłają promienie widzialne dobrze w ciemności. Błyszczą one zielonawem światłem na podobieństwo robaczka świętojańskiego i wyładowują w okamgnieniu, nawet na stosunkowo znaczną odległość, naelektryzowane przedmioty. Niedawno odkryto czwarty pierwiastek, aktinium, obdarzony takiemiż własnościami i dowiedziono, że tajemnicze promienie Becqerela działają także na zwierzęta i rośliny. Radium pobudza swem promieniowaniem skórę aż do zapalenia. Giesel z Braunschweigu powiada, że po upływie dwóch godzin naskórek oddziela się od ciała, a liście roślin tracą zieloną barwę, brunatnieją a w końcu obumierają; nawet papier rudzieje i staje się kruchym. To samo dotyczy polonu.

Powiedzieliśmy, że promienie, o których mowa, zaprzeczają, pozornie przynajmniej, zasadzie niezniszczalności energii. Nie wątpimy, że sprawa wyjaśni się prędzej czy później; bądź co bądź jednak konsekwencye, wypływające z istnienia tajemniczych promieni, byłyby zdumiewające. Przedewszystkiem cała nasza dzisiejsza elektrotechnika byłaby zagrożoną; gdyby naprzykład jakiś figlarz tylko położył gdzieś na centralnej stacyi woreczek napełniony radem, czy polonem, maszyny dynamo przestałyby działać, bo prąd nie płynąłby po drutach, skoro powietrze stałoby się dobrym przewodnikiem; dla tejże przyczyny nie chciałyby się palić lampy elektryczne, ani nie poruszałyby się motory itd.

Z drugiej zaś strony tajemnicze promienie ułatwiłyby nam telegrafowanie bez drutu, wprost przez powietrze.

Niedawno robiono z nimi doświadczenia w fotochemicznym oddziało laboratoryjnym przy wyższej szkole technicznej w Berlinie. Doświadczenia te pozwalają przypuszczać, że promienie Becquerela elektryzują odjemnie przedmioty; jeżeliby tak było, to możnaby za ich pośrednictwem wytwarzać stałe prądy elektryczne, tak jak maszyną dynamo, lub też odwrotnie, wprawiać w bezustanny ruch motory elektryczne! Perpetuum mobile w nowej postaci!

Jakie jest źródło tych rażących konsekwencyj, gdzie tkwi błąd?

Pragnąc wytłómaczyć, dlaczego polon, rad i t. d. mogą promieniować energię w nieograniczonych ilościach bez dopływu jej z zewnątrz, postawiono dwie główne hipotezy. Pp. Curie wypowiadają przypuszczenie, że w przestrzeni rozchodzą się bezustannie promienie, podobne do roentgenowskich, a wytwarzane prawdopodobnie dzięki energii słonecznej; promienie te są absorbowane przez metale o wysokim ciężarze atomowym i przeobrażane na promienie Becquerela, zdolne działać na płytę fotograficzna i czynić gazy dobrymi przewodnikami.

Druga hipoteza pochodzi od angielskiego fizyka, W. Crookesa. W każde ciało, znajdujące się w ośrodku gazowym, ewentualnie w powietrzu, uderzają molekuły gazowe z rozmaitą szybkością poruszające się w przestrzeni. Może więc ciała promirniujące mają własność przyswajania sobie części energii cząstek, których szybkość przekracza pewną granicę i przeobrażania jej w promienie Becquerela.

Dwaj uczeni niemieccy, pp. Elster i Geitel, przedsięwzięli sprawdzenie obu hipotez. Zbadali przedewszystkiem zachowanie się uranu w próżni barometrycznej. Okazało się, że siarczan uranu działa na płytę fotograficzną nawet w pozbawionej powietrza przestrzeni tak silnie, jak w zwykłych warunkach; promienie Becquerela powstają także w rozrzedzonych gazach i czynią je dobrymi przewodnikami, tak jak zgęszczone. Wyniki te nie przemawiają wcale za trafnością hipotezy Crookesa.

Hypotezę p. Curie sprawdzono w następujący sposób:

Pp. Curie utrzymują, że przestrzeń wypełniają nieznane promienie, przenikające łatwo blachy, drzewo, ściany i t. d. Jednakże owe promienie powinny tracić na sile, przechodząc przez warstwę skały grubą na kilkaset metrów. Tymczasem pp. Elster i Geitler spuścili się w kopalnię Klausthal (Harz) na 300 metrów pod powierzchnię i dowiedli, że w tej nawet głębokości uranowe minerały rozpraszają elektryczne ładunki a działają na płytę fotograficzną w głębokości 850 m. i to równie silnie, jak na powierzchni. Hipoteza p. Curie wobec tego nie da się chyba obronić; ma ona zresztą tę wadę, że objaśnia X przez Y.

Od paru lat więc świat uczony stoi wobec intrygującej zagadki, którą daremnie usiłowało rozwiązać tylu badaczy. Kiedy dowiemy się czegoś pewnego o naturze tajemniczych promieni, tego dziś przewidzieć niepodoana. Otwarły się atoli nowe a szerokie horyzonty dla dociekań w tej dziedzinie fizyki, którą do niedawna uważano za względnie dobrze opracowaną.

O promieniach Becquerela nieraz jeszcze zdarzy się nam słyszeć.

Wł. Bukowiński

Polskie powieściopisarki.

(Dokończenie).

To wnętrze duszy kobiecej, które okrążały z daleka dwie autorki poprzednie, potrafiła pod pewnym względem przynajmniej otworzyć przed nami nieznana dotąd w literaturze p. A. Suszczyńska. Jej „Przekonana“ — to właściwie poprzedzony krótkim wstępem i zakończony krótszym jeszcze epilogiem, zbiór listów młodej, kształcącej się w Paryżu artystki, która w danej chwili bawi czasowo u krewnych na wsi, do studyującej za granicą medycynę siostry starszej i zarazem przyjaciółki serdecznej. Listy, pisane z zupełną naturalnością i swobodą, niewyłączającą zresztą delikatności w dotknięciu piórem niektórych stanów duchowych, przypominają chwilami, nie treścią, lecz sposobem traktowania przedmiotu, jedną z nowel Ignacego Dębrowskiego. Malują nam w sposób zajmujący otoczenie wiejskie młodej artystki, kreślą w kilku rysach trafne sylwetki jej kuzynów-studentów i, przechodząc stopniowo z tonu zwyczajnej sielanki na nutę coraz bardziej dramatyczną, pozwalają nam przyjrzeć się zbliska trochę znużonej już życiem, lecz sympatycznej duszy bohaterki utworu. Przekonanie się o rzeczywistej miłości narzeczonego okupuje Helena zbyt drogo, bo — ceną życia. Tragiczne to zakończenie jest może niezupełnie usprawiedliwione, gdyż wcześniejszy przyjazd siostry mógłby był zapobiedz katastrofie, ale całość utworu nosi niewątpliwe znamię świeżości talentu, niepozbawionego pewnej żywiołowej siły, pozwalając rokować pomyślnie o dalszych pracach autorki. Szkoda, że młoda powieściopisarka nie zdołała ustrzedz giętkiego stylu i swobodnego stylu od pewnego przeładowania usprawiedliwionymi poniekąd, ale nie w tym stopniu, frazesami francuskimi i, co gorsza, od paru zwrotów wprost nieprawidłowych: „Czy pamiętasz tę żółtawo-różową (suknię), *którą obiecałam ci, że nie będę nosić?* (str. 75). „Czy można leczyć się *od tego?*“ str. 125). Ale są to naleciałości, *z których* wyleczyć się nie byłoby może zbyt trudno...

W utworze p. A. Suszczyńskiej mamy wyłącznie prawie do czynienia z różnemi fazami miłości, obejmującej stopniowo przeżytą już trochę duszę młodej kobiety i doprowadzającej ją w końcu do mogiły. O wiele szerszy widnokrąg roztacza przed nami p. Ludwika Koszutska w swym zbiorze luźnych dosyć spostrżeżeń i uwag, ironicznych uśmiechów i głębszych od nich, a zazwyczaj ukrywanych przed światem, westchnień tęsknoty, objętych wspólnym tytułem „Z teki wrażeń“. Napróżno tylko autorka przywdziewa potroszę maskę cudzą, podając swe własne, w znacznej części przeżyte niewątpliwia, myśli i wrażenia, w formie dziennika mężczyzny. Kobiecość jej, nie ukrywana zresztą za przyłbicą

pseudonizmu męskiego, uderza niejednokrotnie w wielu drobnych, ledwie uchwytnych, lecz niezawodnych szczegółach, czyniąc przebranie owe niepotrzebnem, czasem nawet psującem trochę dodatnie na ogół wrażenie.

Jest to pewnego rodzaju spowiedź istoty nawskroś współczesnej, dotkniętej owym charakterystycznym fermentem niezadowolenia z rzeczywistości obecnej, szukającej i niemogącej znaleść dokoła siebie urzeczywistnienia wymarzonego ideału, a ukrywającej wstydliwie, jak grzech śmiertelny, głęboką do niego tęsknotę. Rzeczywistość budzi w niej najczęściej gryzącą ironię lub sarkazm bolesny, w któreóą szyderczym śmiechu nie każde ucho odróżnić potrafi tłumioną nutę ukrytej gdzieś głęboko łzy.

Wielostronna wrażliwość i subtelny krytycyzm stanowią zasadniczą cechę tej przebranej po męsku duszy. Ostrze krytycyzmu zwraca się nieraz w kierunku dośrodkowym, budząc niezadowolenie z siebie samej, to znów doprowadza do pewnej przesady, wywołując sądy paradoksalne i niesłuszne, lecz w pewnych stanach duszy zrozumiałe. Stąd nieraz, zazwyczaj świadomie, autorka przeczy samej sobie, krytykując ostro w kartkach następnych to, co w poprzednich mówiła, lub nawet potępiając w czambuł cały swój sposób tworzenia. „Można mieć dobry gust, a swoją drogą partać szczęśliwie. Mogę wielbić Flaubert'ów i Balsac'ów, a iść tym szlakiem, co wszyscy dzisiejsi. Liberya schyłkowców świeci się na mnie z całym arsenałem wstrętów, wstręcików, nerwów i głupiej gawędy wobec dusz innych. Nie udali mi się inni, oblicza ich szpecę karykaturą, a wnętrze pozostawiam we mgle niewyraźnej. Nastrój nadaje im barwy, a chimera kontury. O sobie boją się gadać. Człowiek jest pełen siebie, a zarazem odczuwa straszną wewnątrz pustkę. Pewnym rzeczom nie wystawia dokumentu przez wrażliwość wielką, innym przez lęk. Głąb serca tyle kryje smutków, że strach jej dotknąć. Omijam jedno i drugie i wędruję niezmiernie znużony wśród ludzkiej galeryi. Patrzę po wierzchu, sądzę po wierzchu, a wszystko, i świat i siebie, otulam w płaszcz nieszczerego, psychologicznego szczebiotu".

P. Koszutska zna siebie dobrze; widzi swe wady i przez usta bohatera swego otwarcie się do nich przyznaje: „Żałuję ogromnie, że za mało jestem plastykiem, aby w obrazach życia przedstawić charakter Bronki. Pojmuję ją dobrze, a piszę o niej bez barw i konturów". Ten brak plastyki daje się dostrzedz istotnie, nie wyłącza jednak dużego zasobu spostrzegawczości, trochę może rozpraszającej się na szczegóły, jednostronnej, lecz bystrej i niewątpliwej. Autorka przesuwa przed nami szereg zajmujących postaci, nader trafnie i dowcipnie, lecz zawsze sylwetkowo, podkreśla w nich ten i ów szczegół, o całość wyrazistą i plastyczną kusząc się rzadko. Ironizuje chętnie, ukrywając uczucia właściwe. W paru miejscach tylko wyrywają się one z jej duszy, a te szczere wylewy serca to niewątpliwie najlepsze kartki książki. Zaliczyłbym do nich przedewszystkiem prawdziwie wzruszające wyznanie, wydzierające się mimowoli z duszy pod wrażeniem wspaniałego widoku z Zawratu, kiedy to, jak się skarzy autor pamiętnika, „falą wspomnień podchodzi do gardła to wszystko, czego pragnąłem, a co nie dla mnie było, czego szukałem, a nie mogłem znaleść... A dalej kilkanaście ostatnich kartek książki, oddających tak dobrze tłumiony krzyk serca, tracącego na zawsze swój skarb najdroższy.

Brak miejsca nie pozwala na dłuższe cytaty i wyjątki, zaznaczę więc tylko, że gdyby nawet wszystko inne, prócz tych paru ustępów, było w „Tece wrażeń" pani Koszutskiej „literaturą" tylko, że użyję określenia, powtarzanego dziś często za Przybyszewskim, to i tak utwór jej zasługiwałby na wyróżnienie zaszczytne z powodzi tak zwanych „nowości..."



X. R. ŻYWICKI.

Rozwój życia społecznego w wieku XIX.

I.

Wiek XVIII. przekazał w spuściźnie swemu następcy siłę pary, ale dopiero stulecie, które przed paru miesiącami zstąpiło do grobu, zastosowało ją jako motor pociągowy zamiast dawnej siły sprężajnej zwierząt.

To zastosowanie siły pary dało możność stworzenia taniej, prędkiej i masowej komunikacyi. Sieć kolei pokryła powierzchnię krajów cywilizowanych i stamtąd zapuszcza odnogi swoje na wszystkie strony w kraje, których nazwiska nie zawsze znamy, zwiększa gęstość swoich nitek i liczbę supłów i rozszerza się, ażeby opasać cały glob ziemski i połączyć go jednem uściskiem. Gdzie nitki sieci kolejowej urywają się nad brzegiem mórz, tam ukazują się linie komunikacyi wodnej: siła pary, użyta, jako motor do poruszania statków wodnych, umożliwiła budowę „miast pływających" i „pływających składów" i powiązała pomiędzy sobą dalekie lądy. Stare drogi morskie okazały się zbyt długiemi, więc wyprostowano je, przekopując kanał Suezki i imając się takiej samej pracy na międzymorzu, łączącym obie Ameryki. Wzdłuż arteryi kolejowych i pod liniami parostatkowemi, na dnie morskim, przeprowadzono żelazne nerwy w postaci drutów telegraficznych, — doniosłą zdobycz wieku dziewiętnastego; po tych nerwach, przed laty dziesięciu posiadających na globie około 80.000 ośrodków, biegło rocznie 225 milionów depesz. Obok nich, na mniejszych przestrzeniach ciągną się druty telefoniczne, a w Stanach Zjednoczonych pojawiają się telautograficzne, przenoszące nawet charakter pisma. Powolniej i ocięźalej, ale za to bez porównania obficiej działa instytucya pocztowa: w r. 1887 przewoziła ona dziennie 34 mil. posyłek rozmaitego rodzaju! Przestrzenie pomiędzy kolejami wypełniły szosy, również dzieło naszego wieku, a środki przewozu i przejazdu pojawiły się tramwaje, automobile i welocypedy. W środkach komunikacyi i porozumiewania się stworzonych przez XIX stulecie, prócz zwiększającej się prędkości, uderza inny jeszcze objaw: taniość przewozu wzrasta, a taryfy strefowe w Rosyi i Austro-Węgrzech zwiastują jeszcze większy postęp w przyszłości, kiedy przejazd wzdłuż Niemiec będzie kosztował dwie marki a odbywał się w ciągu kilku godzin. W Ameryce północnej za przewóz 2,200 funtów na jedną milę płacimy tak drobną kwotę, że żaden malec w Bostonie za tak marne wynagrodzenie nie przeniósłby niewielkiego pakunku na sąsiednią ulicę. Wogóle zaś, przed laty już dziesięciu, koleje żelazne wakonywały taką pracę, dla której potrzeba byłoby, ażeby każdy mieszkaniec globu posiadał konia, pracującego nań w ciągu dni prawie dwudziestu roeznie.

Daleko okolice globu ziemskiego zostały spojone pomiędzy sobą, przestrzenie zmalały i najdalsze podróże ludzi i towarów przestały nas wprawiać w podziw; nawet tak kruche i psujące się produkty, jak *perishable goods* (masło, jaja, świeże mięso) wędrują z półkuli południowej na północną, bo sztuka zamrażania zabezpieczyła je od szkodliwych skutków gorąca. Wymiana połączyła ludzi różnej barwy, języka i wyznania w organizm wzajemnej zależności. Wraz z rozszerzaniem się obszaru wymiennego powstaje rozległa więź społeczna — międzynarodowej wymiany produktów i idej, a jej prowincyami stają się pojedyncze państwa i pojedyncze narody. Nie jest to bynajmniej przenośna stylistyczna, lecz stwierdzenie bardzo konkretnego i doniosłego faktu. Ludzie, powiązani wzajemną zależnością międzynarodowego podziału pracy, pokutują za winy, popełnione przez innych w dalekich krajach; kaprysy przyrody i huragany potęg ekonomicznych w skutkach swych dosięgają najdalszych zakątków globu: obywatel ziemski u nas zostaje wystawiony na subhastację, gdy łany Dakoty zanadto obrodzą. Koleje i linie parostatkowe są ateryami tego rosnącego i potężniejącego organizmu międzynarodowego, druty telegraficzne jego nerwami, giełdy zaś ośrodkami, regulującemi obieg soków spożywczych. Druga połowa wieku XIX ujawniła ten wzrost zależności wzajemnej i ukazania się potrzeb kulturalnych, wspólnych ludom cywilizowanym, powołaniem do życia najrozmaitszych instytucyi międzynarodowych. W r. 1865 pierwszy międzypaństwowy kongres telegraficzny rozpoczął pracę ujednostajnienia i upraszczania techniki porozumiewania się ludów; w r. 1874 obradował pierwszy zjazd w sprawie dokonania podobnej reformy w zakresie komunikacyi pocztowej, a łatwiej niedocenić, niż przecenić doniosłość wprowadzonej reformy, które w ujednostajnionym i uproszczonym mechanizmie związała przeszto 800 mil. ludzi, zamiast 1,200 taks, istniejących jeszcze w r. 1675 na przestrzeni obszaru wymiennego, wprowadziła jedną ogólną normę i „opasała widomem spoidłem jedności wszystkie cywilizowane ludy". Kiermasze międzynarzdowe, połączone z wystawami produktów przemysłu, nauki i sztuki, oraz międzynarodowymi zjazdami uczonych i wszelkiego rodzaju działaczy praktycznych przedstawiają dalszy wyraz tego samego stosunku zależności wzajemnej, która pojawia się i potężnieje na podłożu rozszerzającej się sieci środków taniej, prędkiej a masowej komunikacyi. Dodajmy próby międzynarodowej walki z epitetami, zamiary międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego i ujednostajnienia miar i wag, oraz patentów i marek przemysłowych, własności literackiej, służby meteorologicznej i obserwacyj astronomicznych, wreszcie *list nos le ast*, czarną, złotą, czerwoną i zieloną Międzynarodówkę społeczno-polityczną, a znaj-

dziemy się w obliczu objawów, zwiastujących, iż życie globu ziemskiego płynie coraz szerszem wspólnem łożyskiem, obok którego istnieją pomniejsze, narodowe. Ale narodowość dzisiejsza, opasana wodami nowego łożyska, staje się coraz mniej skarbnicą miłych sercu pamiątek, a coraz bardziej dźwignią lepszych przyszłości, jako najodpowiedniejsza forma demokratyzacyi warunków życia kulturalnego.

Z rozwojem dróg komunikacyjnych i wzrostem przepływającego po ateryach potoku towarowego, znajduje się w ścisłym związku kilka objawów, będących dziełem stulecia, które świeżo zeszło do mogiły. Są to wielkie miasta, instytucye, regulujące przepływ towarów, i wreszcie wielka wędrówka ludów.

Dopiero wiek XIX uniezależnił ludzi od dowozu żywności z bezpośrednio blizkiej okolicy, pozwolił im osiedlać się chociażby na pustkowiu i skupiać się tam w ilości setek tysięcy i nawet milionów głów. Wielkie miasta wżarły się w krew i ciało cywilizacyi w ubiegłem stuleciu. Stolica Anglii liczy dzisiaj, wraz z swemi przedmieściami, więcej ludności, niż cała Szwecya lub Holandya. Kraje, które na stronicach historyi pozostawiły wiekopomne imię, nigdy nie liczyły tylu mieszkańców. Wielkie miasta wycisnęły swe piętno na całem życiu kulturalnem narodów: w dziedzicznej monarchii Hohenzollerow każdy 19-ty poddany jest Berlinczykiem, każdy siódmy Anglik — mieszkańcem Londynu. W Ameryce, a nawet w Europie miasta wyrastają jak grzyby po deszczu. Nawet snując utopie przyszłości, wielu nie może oswobodzić się od obrazu murów miejskich, ani wyobrazić sobie świata bez olbrzymiego nagromadzenia domów, zbioru śmieci i atmosfery kurzu. Miasto panuje nad naszą całą kulturą: jak ongi wieś, tak dzisiaj ono rządzi życiem i narzuca mu swoje wzory, uczucia i ideały.

Wyżywienie ludności miejskiej było wielką troską, spoczywającą na barkach zarządów municypalnych podczas wieków średnich. Dzisiaj Londyńczyk, a nawet Anglik (bo Anglia w organizmie międzynarodowym jest jako wielkie miasto), kładzie się do snu z mocnem postanowieniem iż nazajutrz w sklepach dostanie wszystkiego, czego trzeba do życia, tak samo, jak jest pewien, iż słońce wejdzie o właściwej godzinie. Istnienie miast wielkich i okręgów fabrycznych świadczy, iż krążenie soków wymiennych w społeczeństwach przystosowało się do potrzeb spospożywców. Mechanizm działa żywiołowo, niekiedy huragany ekonomiczne wstrząsają nim do posad, ale w ogólnym zarysie wywiązuje się z ciążących na nim zadań. W tym celu samorzutnie stworzył stacye, na których regulowane są szluzy, przepuszczające potrzebną ilość produktów. Są to giełdy ze swemi tranzakcyami na dostawę, te żywiołowo działające komitety statystyczne potrzeb społecznych. Obok nich pojawiły się punkty składowe, lodownie dla mięsa, mleka, owoców, użytkujące z ulepszonej techniki przechowywania towarów, śpichlerze jaj, elewatory zbożowe i inne składy, magazyny i śpichlerze. Powstała cała technologia śpichlerzowania, nieznana nawet pierwszej połowie wieku naszego z odpowiednią techniką warantów i innych udogodnień wymiennych.

Wreszcie wiek nasz schodzi do grobu wśród objawów olbrzymiej wędrówki ludów. Prawdopodobnie liczba osób, corocznie opuszczających kraj rodzinny i dążących do kolonii szukać dostatku, przewyższa swoimi rozmiarami liczebność tłumów, poruszających się na przestrzeni Europy podczas wielkiej wędrówki. My, Polacy, dopiero od lat kilkunastu wzięliśmy w niej udział. A jednak zawędrowaliśmy do Stanów Zjednoczonych, i Chicago jest dzisiaj drugiem po Warszawie miastem, liczącem tak wielką rzeszę ludzi, mówiących po polsku, w Argentynie i Brazylii, osady polskie na lądzie N. Holandyi, związki fermerskie polskie w N. Zelandya. Nad Renem istnieje oaza polska, licząca przeszło 200,000 głów; zjawiają się miasteczka polskie pod Hamburgiem i w Danii. Anglik wędruje za morze, jego miejsce zajmuje Niemiec, włościanin niemiecki ucieka do koloni i udaje się do miast, na jego miejsce napływa Włoch, Czech, Polak, pustkę sprawioną odejściem Polaków z Poznańskiego zapełniają Polacy z Królewstwa i t. d. Granice narodowości przekształcają się, a co ważniejsza tam za morzem powstają nowe, szerokopowe ogniska cywilizacyi, szybko rozwijające się, bo wolne od pęt, jakie przeszłość pozostawiła Europie. Punkt ciężkości przemysłowej i prężności rozwoju materyalnego ulokował się w Ameryce północnej. Postęp stosunków prawno - społecznych i demokracyi obrał sobie siedzibę w Australii.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowe książki.

Stanisław Mleczko. **Serce a heksametr, czyli geneza metryki poetyckiej w związku z estetycznem kształceniem się języków, szczególnie polskiego.**

Mamy tu do czynienia z pracą, która usiłuje wykazać głęboką zależność rytmiki wiersza i wogóle rytmu mowy od tętna sercowego, od sprawy oddychania. Praca p. Mleczko rozpada się na cztery działy, p. t.: 1) Jednorodność rytmiki ludzkiej; 2) Fizyologiczna estetyka rytmu; 3) Rozwój młodźwięku w mowie polskiej; 4) Naukowa prozodya wierszy naszych. Autor szczegółowo zajmuje się estetyką zgłosek polskich, prozodyą języka polskiego, wszystkiemi rytmami naszej mowy, wiązanej z punktu widzenia oryginalnej swojej teoryi.

Ks. Julian Dobkiewicz, magister św. Teologii. **Troistość w naturze, albo Epopeja filozoficzna.**

Autor zaznacza, że „dogmat o Trójcy św. służył mu za pochodnię w wywodzie całego systematu filozoficznego..“ Z drugiej strony konieczność troistości Boga wywodzi stąd, że „w jedności tego świata wszędzie widzimy troistość...“ W przedmowie znajdujemy próbę wyjaśnienia Apokalipsy św. Jana.

Harald Höffding, profesor uniwersytetu w Kopenhadze: **Zasady etyki.** Przełożyła dr. Zofia Daszyńska.

Ogromna troskliwość przy wielkiej jasności wykładu, bogactwo pojęć przy zwięzłości formy, ostrożność wniosków w rozbiorze zawiłego problematu etycznego — cechują tę pracę duńskiego profesora. Poświęca on ciekawe karty wybijającemu się w ostatnich czasach przeciwieństwu między ideałami indywidualizmu i socyalizmu, ostrzegając przed wybujałością i wygórowaniem obojga. Nastaje na konieczności przezwyciężenia przeciwieństw między naturą i kulturą, sztuką i życiem, religią i nauką. Ideę moralną, ważną nietylko dla etyki zasadniczej, lecz i dla stosowanej, znajduje w sprawiedliwości, która jest połączeniem samozachowania i poświęcenia, sympatyi i mądrości.

Dr. Maurycy Straszewski, zwyczajny profesor filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim: **O filozofii i filozoficznych naukach.**

W dziełku tem autor zastanawia się nad zmianami, które zachodziły w pojęciu o filozofii w ciągu jej dwudziestopięciowiekowego istnienia (w Grecyi, w wiekach średnich, w czasach nowożytnych). Wskazując zadania i przedmiot filozofii, wyznacza stanowisko jej w organizmie wiedzy i podaje podział nauk filozoficznych, szeregując je z psychologią u podstawy, a etyką na stopniu najwyższym.

Stefan Poraj - Suchecki. **Wschodniem wybrzeżem Afryki. Wrażenia z podróży.**

Autor przez dłuższy czas mieszkał w południowej Afryce: w Kaplandzie i Transwaalu, poczem wrócił do kraju — i wrażenia, zebrane w podróży powrotnej, wyłożył w tej książeczce, zaopatrzywszy je w szereg ilustracyj. Dzieło, pisane językiem potoczystym, czyta się z przyjemnością, a nie brak w niem wielu ciekawych szczegółów i zajmujących obrazów afrykańskiej przyrody i ludzi.

Wydawca **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Feliksa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 15-52

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

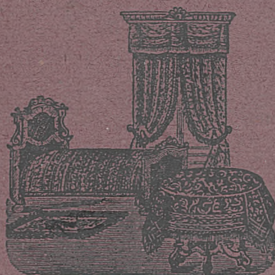
FABRYKA LWÓW MICKIEWICZA L. 2

23—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

19—44

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

24-52

Główny skład browaru Arcyk. Karola Stefana w Żywcu

przy ulicy Sykstuskiej l. 33.

utrzymuje na składzie piwo cesarskie jasne jak pilzneńskie, eksportowe, porter w oryginalnych beczkach, butelkach i w syfonach 5-cio litrowych.

UWAGA. Porter uznany jako piwo kuracyjne.

Zastępca J. O. Seelenfreund
ul. Sykstuska l. 33.

6—

!Portrety olejne!

Wedle fotografii na płótnie.

!!!Zadziwiająco tanio!!!

a także i na raty.

Wykonywane w kraju.

Jedyna agencya

K. CZAPEK

we Lwowie 11—?

ulica Kochanowskiego 18.

TUTKI

La Coronne, Dreyfus i Cartouche z prawdziwej bibułki francuskiej z watą

polecają

BRACIA PARNASS

Fabryka tutek i cygarniczek oraz wyrób cygarniczek

w BRODACH.

2—12

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 25—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

W interesie ludzkości!

Kto chce być zdrowym niech pije

KAWON

Jest to kawa pozbawiona alkaloidów, a tem samem wszelkich narkotyków, które drażnią nerwy, szkodliwe są na serce i na piersi. Kawon powinni pić osłabieni i rekonwalescenci, dzieci i anemiczni. Przyrządza się go zupełnie tak samo, jak kawę t. j. zaparza w maszynce lub gotuje się z mlekiem lub śmietanką, bez żadnej domieszki cykoryi. Sądzę, że społeczeństwo nasze zechce zrozumieć doniosłość tego wynalazku dla dobra własnego, a jestem przekonany, że kto raz spróbuje Kawonu, kawy pić nie będzie.

Cena pakietu na 12 szklanek 40 hal. (20 ct.)

Uprasza się zwracać baczną uwagę na markę ochronną z serduszkiem.

Dostać go można we wszystkich handlach korzennych i drogueryach.

Zamówienia na prowincyę od 10 paczek wysyła kantor, Lwów, Chorążczyzna 19.

11—12 **Artur Doliński i sp.**

Nowo otworzona restauracya w pasażu kryształowym niniejszem ogłasza Sz. P. T. Publiczności, iż lokal otwarty do godziny 1. w nocy przy muzyce pułku 30-go.

Zaopatrzona w doborowe gatunki win, likierów i wódek oraz świeże piwo pilzneńskie.

Kuchnia zadowolnić może najwybredniejszych smakoszy; udowodnić mogę podziękowaniami, jakie otrzymałem za smaczne i punktualne wykonanie.

Z szacunkiem

7—52 **LEON ORŁOWSKI.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.